Rozmaitości

Dnia 20. Lutego N^er.^ 8. Roku 1841.

UROCZYSTY
POPIS PROPAGANDY
WE WSZYSTKICH JĘZYKACH W RZYMIE.

Dnia 13go stycznia roku bieżącego, podobnie jak corocznie w tym dniu odbył się w Rzymie wielki, we wszystkich językach festyn, w którym jak wiadomo uczniowie propagandy w różnych swych ojczystych językach uroczyste mowy mieli. Przy wstępie, gdym oddał bilet zapraszający, pisze pewien podróżny, przyjęli mnie uprzejmie alumni i przełożeni. Pewien młody, rodem z Koblencyi propagandzista, pan Albert Nikola, towarzyszył mi przez szérokie palmami i wawrzynami ozdobione kurytarze okazałego gmachu aż do sali, gdzie w głębi na wzniesionych w półkole ławkach uczniowie siedzieli. Nad nimi wisiał wizerunek papieża Grzegorza XVI., a sala była rzęsisto oświetlona. Miejsca zastałem powiększéj części już zajęte przez Niemców, Anglików, Francuzów, Belgijczyków, Duńczyków, Szwedów i Rossyjan, jednakże grzeczny mój towarzysz wynalazł dla mnie miejsce w pobliżu tych, które dla kardynałow przeznaczono. Wkrótce potém otoczeni strażą honorową gwardyi szwajcarskiéj, weszli w purpurowych szatach czteréj eminencyje, między którymi sławnego w literackim świecie kardynała Mezzofantego poznałem. Do nich przyłączyli się Dom Miguel, dwunastu biskupów i różni zagraniczni książęta. Za wnijściem do sali Ich Eminencyj powstali uczniowie i nie usiedli, aż pokąd kardynałowie miejsc swoich nie zajęli. W téj chwili rozpoczął się łacińską przez pewnego Illiryjczyka mianą przemową akt akademicki. Po téj przemowie rozdano pomiędzy gości program z wyszczególnieniem różnych języków, tudzież imion alumnów, którzy w tych językach mowy mieć będą. Zaraz potém deklamował pewien młody propagandzista z Nowego Jorku, wiérsz w języku hebrejskim, po którym przez dwóch Chaldejczyków rabiński dyjalog nastąpił. Abdallah Assemani z góry Libanu wygłaszał wiérsz syryjski; pewien uczeń rodem z Betleem, mówił językiem samarytańskim. Następnie powstało trzech Chaldejczyków, dla wygłoszenia *eklogi* w swym kościelnym języku, którą śpiewem w tonach guturalnych zakończyli.

Jak wszystkich, którzy się dotychczas słyszéć dali z upodobaniem przyjęto, tak téż szczególniéj tych ostatnich dwukrotnie oklaskami powitano. Potém mówił pewien Pers językiem chaldejskiego ludu; pewien Amerykanin z Wasyngtonu wygłaszał wiérsz włoski, zaś młody człowiek z Libanu, który deklamował wiérsz arabski, podobał się najszczególniéj dla tego, że przedmiot był metrycznie ułożony, tudzież dla żywéj i jędrnéj deklamacyi. Narzeczem maltańskiém mówił pewien Alepińczyk, a pewien Konstantynopolitanin wygłaszał słodko-brzmiące wiersze tureckie. Potém nastąpiły popisy w języku ormiańskim i w języku Szemzów czyli Saussów (wielbicieli ognia). Zaraz potém powstało dwóch młodych Indyjan z Pegu, państwa Birmanów, do wygłaszania dyjalogu w swojéj ojczystéj mowie. Najmłodszy z nich, zwłaszcza, iż obadwaj czarno-brunatnym

kolorem swojéj twarzy zwracali na siebie uwagę, nie miał więcéj jak lat dwanaście; łecz deklamował z taką naturalnością, iż prawie burzliwémi oklaskami obudwóch powitano. Ormianin z Ancyry w Małéj Azyi, wygłaszał elegiję łacińską, potém deklamowano wiérsze ze staro- i nowo-greckich poezyjnych utworów. Przyjemniejszym dźwiękiem, niż kurdyjski język, którym pewien człowiek z Kurdystanu przemawiał, brzmiał wiérsz celtyjski, który pewien Amerykanin z Nowéj Szkocyi, a po nim pewien Irlandczyk wygłaszał. Piękny włoski sonet oddany przez pewnego niemieckiego propagandzistę, stanowił przejście do języka iliryjskiego, bulgarskiego i polskiego, po którym na język niemiecki koléj przyszła. Jan Winkler z Drezna, któremu tylko na sile głosu zbywało, opiéwał bardzo pięknym wiérszem dzieciobójstwo w Betleem. Po języku niemieckim nastąpił holenderski, poczém Tomasz Fergusson, który, jak słychać, będąc przedtém oficerem przy artyleryi angielskiéj, w Sydnéj, w Nowéj Holandyi, na łono katolickiego kościoła przeszedł, i jest już od dwóch lat uczniem propagandy, deklamował wiérsz angielski, który obecni Anglicy z wielkiém uwielbieniem przyjęli. Potém z kolei przemawiano narzeczem hiszpańskiém, katalońskiém i portugalskiém. Wilhelm Vanderlinden z Hagi, miał rzecz w języku francuzkim; pewien Albańczyk i Gieorgijanin mówili pięknym dźwięcznym ojczystym językiem. Po nim wystąpił pewien młody Murzyn z kraju Godszamu dla przemówienia do obecnych amharyjskim, narodowym językiem Abissyńczyków; ziomek tegoż, młody człowiek, jeszcze czarniejszy na twarzy z iskrzącémi oczyma, mówił po etyjopsku; dwóch Egipcyjan wygłaszało dyjalog koptyjski. Następnie pewien Kalifornijanin dał się słyszeć w języku swych dzikich ziomków i mowę swoję zakończył śpiewem, któremu podług zwyczaju mieszkańców krajowych, zamiast muzyki grzegotką akompanijował. Uzyskał on oklask powszechny, ale jeszcze większą uwagę zwrócił na siebie pewien młody Chińczyk, Joachim Kuo z środkowéj prowincyi Honan, swémi barbarzyńskiémi monosylabami. Po wygłoszeniu przez pewnego Amerykanina z Nowego Jorku, dźwięcznych włoskich tercynów, mówił drugi Chińczyk narzeczem prowincyj Kantonu, które mieszkańcy innych prowincyj chińskich zaledwie rozumieją. Dwóch innych Chińczyków z Szan-sy wystąpiło w swoim ubiorze narodowym, i po przemowie, podług chińskiego zwyczaju, skłonili się aż do ziemi przed zgromadzonymi eminencyjami, biskupami, tudzież innymi słuchaczami. Mówili oni językiem swych prowincyj i zakończyli ten festyn dźwięcznym chińskim śpiewem, z którego jednakże tylko często z uroczystością powtarzane *Alleluja* rozumiéć było można. W téj chwili rozległy się po sali huczne oklaski, poczém nakoniec młody, powyżéj nadmieniony Birman z Pegu, włoskiém *Ringraziamento* słuchaczów pożegnał. Nie jestem w stanie wyrazić, jak wielkie wrażenie sprawił ten festyn na mnie i na wszystkich obecnych. Z rozrzewnieniem nietylko Katolicy ale nawet licznie zgromadzeni z obcych krajów Protestanci, opuścili to wielkie seminaryjum świata, w którém się uczniowie rozmaitych narodów do stanu duchownego i do missyi po całéj kuli ziemskiéj przysposabiają. Pewien Francuz pośród zgromadzenia zawołał z uniesieniem: *C'est le triomphe de notre église*, i zaledwie się od uczniów mógł oderwać. Pewien poeta duński, z którym po skończonym festynie mówiłem, był tak dalece zachwycony, iż powtórzył kilkakrotnie: »Tylko Rzym, to miasto świata, takie owoce wydać może.« Ponieważ natłok ciekawych był tak wielki, iż się w sali naraz pomieścić nie mógł, przeto uroczysty popis ten i na drugi dzień w obecności kardynała Mezzofantego tudzież innych znakomitych osób powtórzono. *(Cour. Frank.)*

KRADZIEŻ MEDALÓW

W KRÓLEWSKIÉJ BIBLIJOTECE W PARYŻU.

(Z pamiętników pana Gisquet'a.)

Dnia 6go listopada 1831 doniesiono mi, że upłynionéj nocy w królewskiéj biblijotece zbiór medalów skradziono. Natychmiast pospieszyłem w towarzystwie najzdatniejszych urzędników policyi na oznaczone

miejsce. Za piérwszém spojrzeniem przekonałem się, że złodzieje zakradli się z domu, który do starego skarbcu przypiérał. Weszli na piąte piętro, gdzie był jeden pokój, którego drzwi od wschodów tylko na klamkę zamknięte były. Z tamtąd po rynwie dostali się na dach drugiego gmachu biblijotecznego. Z tamtąd wyleźli ośm do dziewięć łokci do góry, roztłukli spustne okno do pokoju pod dachem, wleźli doń i otworzywszy drzwi wytrychami, poszli dalej strychem. Za otworzeniem drugich drzwi, weszli na kurytarz, z tamtąd dostali się do włoskiéj galeryi, która w około wielkiéj biblijotecznéj sali się ciągnie. Potém wszedłszy jeszcze na małe wschody, ujrzeli się przed wielką salą, która w tym gmachu na piérwszém piętrze się znajduje.

Gabinet z medalami jest na północnéj stronie sali, od któréj mocnémi dębowémi i śklannémi drzwiami jest przedzielony. Zamknięte drzwi dębowe największy opór stawiły. Złodzieje wywiercili w nich świdrem dziury, w obwodzie, który sześć cali miał w przecięciu; poczém piłką ręczną oderznęli i wyjęli ten kawał drzewa. Tym sposobem powiodło się im zamek i rygiel odemknąć. Poczém wkradłszy się do gabinetu, pozostały im jeszcze tylko drzwi śklanne, które przemocy z łatwością ustąpiły.

Bogaty gabinet medalów oświetlony jest oknem, które na ulicę Richelieu wychodzi. Tém oknem spuścili złodzieje swoim pomocnikom skradzione rzeczy na sznurze, a po skończonéj kradzieży umknęli z gabinetu.

Za mojém przybyciem, zastałem piłę, ślepą latarkę i powróz jeszcze na oznaczoném miejscu. Urzędnicy policyi przypatrywali się im dokładnie i rozpoznawali z uwagą wycięcie we drzwiach. Poczém oznajmili mi, że nie znają tylko trzech ludzi, którzy tę kradzież popełnić mogli. Jeden z nich jest Fossard, który na całe życie do ciężkiéj roboty skazany, ucieczką się uwolnił. Drugi jest Drouillet, przyjaciel piérwszego, który na lat dwadzieścia do ciężkiéj roboty skazany, późniéj ułaskawionym został, a trzeci Drouhin również z kradzieży jak i z przechowywania słynny. Pytałem ich, na czém zasadzają swe wnioski. »Chciéj zważyć mości prefekcie«, odrzekli mi, »jak sztucznie i jak w równych przedziałach są wszystkie dziury horyzontalnie wywiercone, oraz jak wprawnie w koło odziurawiony kawał drzewa jest oderznięty! Widać, iż do tego użyto doskonałych narzędzi i wprawnéj ręki. Następnie proszę się przypatrzyć téj ślepéj latarce; możnaby ją mieć prawie za przedmiot zbytku, zwłaszcza, iż woskową świécą była oświetlona. Zwyczajni złodzieje nie używają w takim razie tylko świécy łojowéj. Nakoniec chciéj uważać piłę ręczną i powróz, który pomimo swéj cienkości, jest bardzo mocny. Wszystkie narzędzia są jak najdoskonaléj sporządzone i najprzedniejszego gatunku. Nie wielu jest złodziei, którzy tak doskonałémi narzędziami zaopatrzyć się i tak znaczny koszt na nie łożyć mogą. Przytém zważyć jeszcze należy, jak nadzwyczajnéj trzeba przebiegłości do pokonania tak wielu zawad. Te powody utwierdzają nas w tém przekonaniu, że jedna z powyżéj wzmiankowanych osób niezawodnie miała udział w kradzieży.«

Rozumie się samo przez się, iż natychmiast wydałem rozkaz, aby wszelkiémi sposobami starano się ich wyśledzić. Tegoż samego dnia doniesiono mi, iż przez osobliwszy przypadek schwytano Fossarda. Przypadek ten ze wszech miar był bardzo ważny. Fossard chodził sobie spokojnie po ulicach Paryża; aż oto niespodzianie spostrzegł go Coco Lacour, dawny urzędnik policyi, który już od trzech lat wystąpił z służby. Ten przypomniał sobie o dawném jego rzemiośle. Z razu nie poznał Fossarda, lecz podobieństwo jego do pewnego zbrodniarza, który niegdyś był w więzieniu, sprawiło w nim podejrzenie. Coco Lacour jakby coś przeczuwając, szedł za nim zdala, a zbliżywszy się do straży, kazał go przytrzymać, dla przekonania się w swojém podejrzeniu. Pomieszanie Fossarda, jego odpowiedzi i wzbranianie się wymienienia domu, w którym mieszka, nie pozostawiły mu żadnéj wątpliwości. Nie wiedząc więc kto on jest istotnie, odprowadzono go do prefektury policyjnéj, i tam go poznano.

Przemieszkiwanie tego przebiegłego złodzieja w Paryżu, utwierdziło policyję w mniemaniu, że on do kradzieży medalów nieza-

wodnie należał. Posłałem do niego naczelnika dywizyi Lacrosniera; sądziliśmy więc, że już złoczyńcę i skradzione przedmioty w naszych rękach mamy, ale rzecz jeszcze nie była ukończona. Rozkazałem, aby tego człowieka ile możności jak najostrożniéj wybadano. Fossard wyparł się wszystkiego, chociaż mu przedstawiano, że zeznanie jego szkodzić mu nie będzie. Lecz on obstawał przy tém, iż do kradzieży bynajmniéj nie należał. Z tém wszystkiém uporczywość ta nie usunęła bynajmniéj mojego podejrzenia.

Dla odzyskania skradzionych przedmiotów, które przeszło na milijon franków ceniono, chociaż wartość złota nie wynosiła jak 220,000 franków, kazałem mu ofiarować pieniężną nagrodę, z przyrzeczeniem, że mu kara zmniejszoną będzie. Lecz nic go nie zachwiało. Z obłudną zatwardziałością kazał mi nawet podziękować za moję życzliwość ubolewając, iż nie jest w stanie zasłużyć sobie na moje względy.

Zwątpiwszy o wybadaniu z niego kradzieży, wydałem rozkaz odprowadzenia go do Bicêtre, aby z tamtąd piérwszym transportem do Brestu go odesłano. Wszelako zaleciłem, aby pod ścisłym zostawał dozorem. Fossard był przez kilka miesięcy w Bicêtre, lecz i tam nic nie odkryto. Zdawał się być tak ubogim, iż towarzysze jego więzienia na najpotrzebniejsze odzienie dla niego kwestowali. W kilka dni później dowiedziałem się, iż Fossard do dwóch swoich przyjaciół w języku złodziejskim dwa listy napisał, w których im nakazywał, aby mu do Brestu 25,000 franków przysyłali. W jednym z tych listów podawał im sposób do okradzenia kościoła. Kradzież ta nastąpić miała w dwóch czyli trzech miesiącach, a Fossard zapewniał ich, że sam przy niéj obecnym będzie. Doniesienie to spowodowało mnie do oddania go pod straż jeszcze ściślejszą.

Tegoż samego czasu, to jest w miesiącu czerwcu 1832, dowiedziałem się, że Fossard i Drouillet, zostają w bardzo ścisłych stosunkach z pewną damą, która się wice-hrabiną Nays mianowała, i która, jak powiadano, od złodziei pensyję roczną od 6 do 10,000 franków pobiérać miała.

Pani Nays przychodziła nieraz do prefektury policyi oświadczając, że się opiekuje niektóremi osobami, i że je moim względom poleca. Utrzymywała ona, że zostaje w ścisłéj zażyłości z panami Barthe, Monthalivet, Delaborde i z innémi znakomitémi osobami, których nawet wymieniła. Słysząc ją mówiącą, rzekłbyś, iż ta niewiasta jest nadzwyczaj litościwą i dobroczynną. Upraszała o posadę dla zdatnych i pewnych ludzi. Chciała nawet ulgę i pocieszenie nieść nieszczęśliwym, którzy w więzieniu zostawali. Starała się ich los polepszyć; sądzę nawet, że się jéj powiodło niektórym złoczyńcom złagodzić karę. Dama ta zamyśliła wyrządzić mi psotę, przez którą byłbym się na śmiéch wystawił, gdybym się był dał ułowić w jéj sidła. Jednego dnia przyszedłszy do mnie rzekła: »Mości prefekcie, przychodzę z wielką prośbą do wpana, i sądzę, że mi twoja grzeczność jéj nie odmówi. Panowie August Perier, Montalivet, Delaborde, tudzież inni moi przyjaciele, przyjęli odemnie zaproszenie i przyrzekli, że na przyszły tydzień w mym domu się zabawią. Dzień jeszcze nie jest wyznaczony; chciéj go wpan sam oznaczyć.« Dotąd jeszcze nie byłem pewny jéj charakteru; ale że ją miałem za intrygantkę, która się za wielą osobami wstawia, więc odmówiłem i nie przyjąłem jéj zaproszenia. Nazajutrz mówiłem o tém z panem Perier, który mnie zapewnił, że téj damy wcale nie zna. Późniéj nie mogłem się wstrzymać od śmiéchu, pomyśliwszy sobie, że gdybym był przyjął jéj zaproszenie, wtedy prefekt policyi byłby wieczór przepędził w towarzystwie panów Drouhina, Drouileta i tym podobnych łotrów. — Niedługo potém doniesiono mi, że wice-hrabina jest przyjaciółką Fossarda. Kazałem więc miéć na nią baczność, i wkrótce oznajmiono mi, że ona dla siebie i swojéj pokojówki, która była żoną Drouhina, wzięła paszport do Brestu. Jakoż w istocie odjechała, ale jeden z moich ajentów pojechał za nią dyliżansem. W wieczór jéj odjazdu, doniesiono mi, że pewną część złotych medalów już stopiono, i że pani Nays na opędzenie kosztów podróży 1500 franków otrzymała. W tym samym czasie przekonałem się także, że Drouillet do kradzieży należał, i że u brata Fossarda pewna część medalów się znajduje. Jak jednego tak drugiego

uwięziono. Drouhina, ktorego jako przechowywacza wielu skradzionych rzeczy oznaczono, ujęto w chwili, gdy z Paryża uchodzić zamyślił. W kufrze jego znaleziono 70 sztuk stopionego złota.

Nakoniec brat Fossarda skłonił się do zeznania, że brat jego i Drouillet popełnili tę kradzież. Tym sposobem sąd otrzymał potrzebne wyjaśnienia. W tymże samym czasie dowiedziałem się, iż połowę medalów stopiono i pod mostem *des Tourelles* w Sekwanę wrzucono. Nurek puszczony w to miejsce wydobył prawie wszystko. Przy szukaniu w piwnicy brata Fossarda, znaleziono podobnież niemal trzydzieści sztuk stopionego złota, do których dodawszy te, które znaleziono u Drouhina i Drouileta, równie jak i medale stopione, które z Sekwany wydobyto i te, które od pani Nays odebrano, wszystko to wyrównywało zupełnie co do wagi wartości przedmiotów skradzionych.

Panią Nays przywieziono do Paryża, a z listów, które przy niéj znaleziono, przekonano się, że jéj ta kradzież była wiadoma, ale udziału w niéj nie miała. Po niejakim czasie wypuszczono ją na wolność. Sąd assysów skazał Fossarda na całe życie na galery, Drouilleta na lat dwadzieścia, a brata Fossarda na lat dziesięć więzienia.

ZBURZENIE
MOSTU NA SKALDZIE.

Ułamek z dzieła historycznego: *Oderwanie się Niderlandów od Hiszpanii.*

PRZEZ SZYLLERA.

W wojnie, którą Filip II. król hiszpański z odpadnionémi od niego Niderlandami prowadził, Aleksander książę parmeński obległ miasto Antwerpiję, do zamknięcia którego na rzéce mającéj 2,400 stóp szérokości, sztuczny most wystawić kazał. Atoli nim książę parmeński ten most ukończył, już w murach Antwerpii pewien inżénier nad zburzeniem jego pracował. Człowiek ten zwał się Fryderyk Gianibelli, którego los przeznaczył, aby został Archimedesem tegoż miasta, i równą zdatność z równie nadaremnym skutkiem na obronę jego zmarnował. Był on rodem z Mantui, i przyjechał był przedtém do Madrytu w celu ofiarowania, jak niektórzy utrzymują, królowi Filipowi swoich usług w wojnie z Niderlandami. Ale zniecierpliwiony, długiém czekaniem urażony artysta, opuścił dwór z tém przedsięwzięciem, by monarchę hiszpańskiego dotkliwym sposobem obeznać z przysługą, którą tak mało cenić umiał. Wstąpił w służbę Elżbiety królowéj angielskiéj, jawnéj nieprzyjaciółki Hiszpanii, która przekonawszy się z niektórych prób o jego zdatności, do Antwerpii go posłała. W tém mieście inżénier ten osiadłszy, poświęcił w obecnych okolicznościach całą swą umiejętność i najgorliwszy zapał. Skoro się tenże artysta dowiedział, że most istotnie stawią i że już jest na ukończeniu, prosił magistratu, aby mu dano trzy wielkie okręty o stu pięćdziesięciu i pięciuset beczkach, w których miny umieścić zamyślił. Prócz tego żądał jeszcze 60 tratew, które kotwicznémi linami i łańcuchami jedne do drugich powiązane, stérczącemi hakami najeżone, za nadejściem odléwu morza w ruch wprawione, a dla dokonania skutku okrętów palnych, klinem w most uderzać miały. Atoli z prośbą swoją udał się do ludzi, którzy do ocenienia nadzwyczajnego jego pomysłu, całkiem niezdatni byli, a nawet tam gdzie chodziło o obronę ojczyzny, kupieckiego skąpstwa w sobie zataić nie mogli. Wniosek jego uznano za nader kosztowny i tylko z wielką trudnością wymógł nakoniec, że mu dwa pomniejsze okręty o 70 do 80 beczek, tudzież pewną ilość tratew zezwolono.

Z témi dwoma okrętami, z których jeden Szczęściem a drugi Nadzieją nazwał, postąpił sobie w sposób następujący: na ich dnie kazał wymurować z ciosowego kamienia próżną skrzynię, mającą pięć stóp szérokości, półczwarta wysokości i cztérdzieści długości. Skrzynię tę napełnił sześćdziesięcią cetnarami, najdrobniejszego prochu swego własnego wynalazku i nakrył ją dużémi grobowémi i młyńskiémi kamieniami, ile ich tylko statki udźwignąć mogły. Nad tą skrzynią wzniósł jeszcze dach z takichże samych kamieni, który się spiczasto kończył i sześć stóp wysoko nad pokład wystawał. Nawet i w poddasze téjże skrzyni natkał mnóstwo żelaznych łańcuchów, haków, kruszcowych i marmurowych kul, gwoździ, nożów i innych zgubnych narzędzi, podobnież resztę miejsca na okręcie, którego skrzynia nie zajmowała, napełnił kamieniami, i wszystko to ponakrywał deskami; w saméj skrzyni zaś, zostawił kilka małych otworów na lónty, które minę podpalić, a prócz tego ustawił także zégarową machinę, która, gdyby się lónty nie powiodły, bijąc, iskry sypać i okręt zapalić miała. — Aby wzniecić w nieprzyjacielu mniemanie, jakoby machiny te tylko most podpalić

miały, na szczycie ich roznieconο sztuczny ogień z siarki i smoły, który się całą godzinę mógł palić. Co większa, dla odwrócenia jeszcze bardziéj baczności nieprzyjaciela od właściwego siedliska niebezpieczeństwa, uzbroił 32 czajek (małe płytkie statki), na których się same sztuczne ognie paliły, niemające innego przeznaczenia, jak tylko omamić nieprzyjaciela. Brandery te, płynąć miały ku mostowi w cztérech różnych odstępach, od jednéj pół godziny do drugiéj, i przez dwie godziny zatrudniać nieprzyjaciela, któryby nakoniec strzélaniem zmordowany, i nadaremném czekaniem zniecierpliwiony, właśnie wtedy w baczności zwolniał, gdy istotne wulkany nadéjdą. Nie dość na tém, uprzednio puścił jeszcze kilka okrętów, w których proch był ukryty, aby te płynące statki przed mostem się rozpękły i głównym okrętom drogę utorowały. Tą utarczką straży przedniéj, spodziéwał się zatrudniać nieprzyjaciela, aby go ku niebezpiecznemu miejscu zwabił i na cały zgubny skutek wulkanu naraził.

Noc z 4go na 5ty kwietnia, przeznaczona była na wykonanie tego wielkiego przedsięwzięcia. Niepewna pogłoska o tém, już się była rozeszła po hiszpańskim obozie, zwłaszcza, gdy ze strony Antwerpii kilka nurków spostrzeżono, którzy liny kotwiczne od okrętu poodcinać chcieli. Przygotowano się więc z odwagą do odparcia ataku, ale nie wiedziano z pewnością, jakiego on rodzaju będzie i spodziéwano się, że więcéj z ludźmi niż z żywiołami walczyć przyjdzie. Książę kazał z tego powodu wzdłuż całego brzegu podwoić straże, i najwyborniejszą część swego wojska ściągnął w pobliże mostu, tam, gdzie sam był obecnym, a przeto tém bliżéj niebezpieczeństwa, im bardziéj się go uniknąć starał. Skoro się zciemniło, aż oto od strony miasta spostrzeżono trzy płynące palące się statki, potém znowu trzy, a za niémi takaż samę ilość. W całym hiszpańskim obozie zawołano do broni, a uzbrojone zastępy cały most zajęły. Tymczasem pomnażały się okręty palące, i płynęły częścią po dwa, częścią po trzy w pewnym porządku na dół rzéki, ponieważ z początku żeglarze niémi kiérowali. Admirał floty antwerpskiéj Jakób Jakobson, niewiadomo czy z niedbałości czyli też umyślnie w tém uchybił, że cztéry oddziały okrętów nazbyt spiesznie jedne za drugiémi puścił, a za niémi także dwa wielkie okręty z minami za prędko posłał, przezco cały porządek w nieład wprawił.

Tymczasem szereg statków zbliżał się coraz bardziéj, a ciemność nocy jeszcze wznioślejszym czyniła ten widok nadzwyczajny. Jak daleko oko wzdłuż rzéki sięgnąć mogło, zdawało się wszystko być ogniem, a z branderów tak mocne buchały płomienie, iż się zdawało, że się same palą. Powierzchnia wody széroką rozpościérała łunę, groble i baszty wzdłuż brzegu chorągwie, broń i zbroje żołniérzy, którzy tak w tém miejscu jak i na moście w paradzie stali, jaśniały w odblasku. Z uczuciem zmiészaném z zgrozą i przyjemnością przypatrywał się żołniérz temu rzadkiemu widowisku, które bardziéj do festynu, niż do nieprzyjacielskiego przyrządu podobne było, ale właśnie to przeciwieństwo zewnętrznego widowiska z istotném jego przeznaczeniem, napełniało umysły niewymowną trwogą. Gdy ta paląca się flota na 2000 kroków do mostu się zbliżyła, przewodnicy jéj podpalili lónty, i pchnąwszy okręty z minami na sam środek rzéki, resztę statków igrzysku bałwanów oddali: sami zaś na przygotowanych już łodziach spiesznо umknęli.

Teraz dopiéro powstał nieład, a statki pozbawione swych przewodników, dostawały się pojedyńczo i bez ładu do płynących okrętów z minami, do których się albo przyczépiały albo też udérzywszy o nie, ku brzegom w bok odskakiwały. Przodkujące okręty z prochem, przeznaczone do zapalenia statków z minami, gwałtowny wicher, który w téj chwili powstał, zaniósł na brzég flandryjski, nawet jeden z dwóch branderów Szczęściem nazwany, płynąc wpadł na mieliznę, nim się jeszcze do mostu dostał, i pęknąwszy, zabił kilkunastu hiszpańskich żołniérzy, którzy w poblizkim okopie pracowali. Nie wiele brakowało, a drugi i większy brander Nadzieją zwany, byłby doznał podobnego losu. Prąd rzéki zaniósł go do płynącego okrętu z mina od flandryjskiéj strony, gdzie się przyczepił i gdyby był w téjże chwili się zapalił, jużby cały jego skutek był nadaremny. Hiszpanie złudzeni płomieniami, którémi ta machina równie jak inne statki buchała, mieli ją tylko za zwyczajny brander do podpalenia łyżwowego mostu przeznaczony, a gdy widziano, że jeden gorejący okręt po drugim bez skutku zagasał, zniknęła nakoniec obawa, i zaczęto wyśmiéwać się z nieprzyjaciela przysposobień, które tak szumnie się zapowiedziały, a tak śmiésznie zakończyły. Niektórzy z najśmielszych rzucili się nawet w prąd rzéki, dla przypatrzenia się z blizka branderowi i zagaszenia go, aż oto brander przedarł się swoją ciężkością, rozsadził płynący okręt z miną, który go zatrzymywał, i całą swoją mocą grożącą wielkiém niebezpieczeństwem na most łyżwowy uderzył. Nagle wszczyna się rozruch, a książę woła na majtków, by machinę hakami wstrzymali i płomienie gasili, zanim belki się zajmą.

Był on w téj niebezpiecznej chwili, na samym końcu lewego pokładu, gdzie takowy basztę w wodzie formując, z liniją mostu łyżwowego się łączył. Przy nim stał margrabia Ryssburg, jenerał konnicy, i gubernator prowincyi Artois, który niegdyś służył Zjednoczonym Stanom holenderskim, ale z obrońcy rzeczy pospolitéj, stał się jéj najzaciętszym nieprzyjacielem; baron Billi, gubernator Fryzyi, i naczelnik pułków niemieckich, jenerałowie Kajetan i Gwasto, tudzież wielu najznakomitszych oficerów. Wszyscy ci zapomniawszy o osobistém niebezpieczeństwie, zajmowali się tylko odwróceniem powszechnego nieszczęścia. Wtém do księcia parmeńskiego zbliżył się pewien hiszpański chorąży i zaklinał go, by się oddalił z miejsca, gdzie jego życiu widoczne grozi niebezpieczeństwo. Ponawiał on tę prośbę jeszcze usilniéj, gdy książę na nię zważać nie chciał, a nareszcie rzuciwszy się mu do nóg, błagał go, by przynajmniéj w tym punkcie od swego sługi radę przyjąć raczył; co mówiąc, ujął księcia za połę, jak gdyby przemocą chciał go z miejsca usunąć, a tak książę zdziwiony bardziéj śmiałością tego człowieka, niż przekonany jego dowodami, cofnął się nareszcie ku brzegowi w towarzystwie Kajetana i Gwasto. Zaledwo tyle ubiegło czasu, że się dostał do twierdzy St. Maryi na samym końcu mostu, gdy natychmiast rozległ się za nim tak wielki huk, iż się zdawało, jak gdyby ziemia pękła, i jak gdyby się sklepienia niebios zwaliły. Książę a z nim cała armija padli jak nieżywi na ziemię, minęło nawet kilka minut, nim do przytomności wrócili. Ale jakiż widok mieli, gdy znowu zmysły odzyskali; od huku rozpalonego Wulkanu rozpadła się Skalda aż do dna swego na dwie części, wysokie bałwanów ściany wyskoczyły na groblę, która je opasywała i zalały ją tak dalece, iż wszystkie szańce na brzegu na kilka stóp głęboko pod wodą stanęły, a na trzy mile w obwodzie ziemia się trzęsła. Prawie cały lewy pokład, do którego się palny okręt przyczepił, również jak i część łyżwowego mostu zostały strzaskane, zdruzgotane, i ze wszystkiém co na moście było, to jest: masztami, działami i ludźmi w powietrze wysadzone. Nawet i ogromne kamienne masy, któremi miny przywalone były, gwałtowny wulkan na poblizkie pola rozrzucił tak, iż niektóre z nich później na tysiąc kroków od mostu, z ziemi wydobywano. Sześć okrętów zgorzało, a kilka w szmaty rozdarte zostało. Lecz straszniejszą niż to wszystko, była klęska, którą ta morderca machina między ludźmi sprawiła; pięćset a podług innych doniesień ośmset ludzi padło ofiarą jéj wściekłości, nie licząc w to ani pochromionych ani téż w inny sposób pokaleczonych. Najprzeciwniejsze rodzaje śmierci, zjednoczyły się w tym okropnym momencie. Jedni poginęli od piorunu wulkanu, inni w wrzącéj wodzie rzeki, innych udusiła zjadliwa siarczysta para, jednych pochłonęła powódź, drugich przykryły jak grad wyrzucone kamienie, innych posiekały noże i haki lub zdruzgotały kule, które brzuch machiny wyzionął. Kilku nieżywych, których bez wszelkiego skaléczenia znaleziono, zabiło zapewne samo wstrząśnienie powietrza. Widok, który się zaraz po podpaleniu miny przedstawił, był okropny. Jedni wbici byli pomiędzy pale mostu, drudzy wyłamywali się z pod mas kamiennych, a inni na linach okrętowych uwiśli. Ze wszystkich miejsc i stron powstał serce rozdzierający krzyk o pomoc, ale na który, gdy każdy był sobą zatrudniony, tylko niedołężnym jękiem odpowiadano. Wielu z tych, co nie zginęło, tylko cudem ocaleni zostali. Pewnego oficera nazwiskiem Tucci, podniósł wichr jak pióro w górę i kołysząc nim przez niejaki czas w powietrzu, spuścił go zwolna na powierzchnią rzéki, gdzie się pływaniem uratował. Drugiego gwałtowny wybuch porwawszy na flandryjskim brzegu, rzucił na brzég brabandzki, gdzie z lekkiem stłuczeniem ramienia podniósł się zdrowo i, jak sam mówił, w téj szybkiej napowietrznéj żegludze, zdawało się mu jak gdyby nim z działa wystrzélono. Sam książę parmeński nigdy nie był tak blizkim śmierci, jak w téj chwili, gdyż tylko jedna minuta rozstrzygnęła, że został przy życiu. Zaledwie że wstąpił do twierdzy St. Maryi, natychmiast jak wichr gwałtowny uniosło go powietrze, a belek który go w głowę i ramię ugodził, położył go prawie trupem na ziemię. Przez niejaki czas miano go nawet w saméj istocie za nieżywego, ponieważ wielu utrzymywało, iż na kilka chwil przed tym śmiertelnym wybuchem, na moście go widziano. Nakoniec znaleziono go, jak trzymając szpadę w ręku pomiędzy swymi towarzyszami Kajetanem i Gwasto, na nogi się podnosił. Była to chwila, która całemu wojsku życie wróciła. Lecz daremnieby starano by się opisać jego stan umysłu, gdy ujrzał jakie jedna chwila zrządziła spustoszenie w szańcach, nad któremi kilka miesięcy pracowano. Rozdarty był most, w którym jego cała nadzieja spoczywała, zniszczona wielka część jego wojska, druga zaś pokaléczona i na długi czas niezdatną uczyniona, przytém wiele jego najzdolniejszych oficerów poległo; a jak gdyby na tem powszechném nieszczęściu nie dosyć było, z boleścią dowiedzieć się musiał, iż margrabiego Ryssburg, którego on pomiędzy swémi oficerami najbardziéj cenił, nigdzie znaleźć nie było można. A jednak jeszcze najgorsze dopiéro nastąpić miało, gdyż co chwila obawiano się z Antwerpii i Lilo nadejścia nieprzyjacielskiéj floty, któraby w tak strasznym nieładzie wojska, żadnego oporu nie znalazła. Most był rozsadzony, więc nie było żadnéj przeszkody do przejścia okrętom morskim z rozwiniętemi żaglami, przytém zamieszanie w wojsku w pierwszych chwilach, było tak wielkie i powszechne, iż niepodobieństwem było wydawać i wykonywać rozkazy, gdyż wiele korpusów swych naczelników, a wielu naczelników swoje korpusy utraciło, a nawet miejsca, na których stali, w powszechnéj zagładzie poznać nie było można. Do tego jeszcze i to się przyłączyło, iż wszystkie szańce na brzegu wodą były zalane, wiele dział zagrzęzło, lonty zamokły, a jaszczyki z prochem woda zniszczyła. Co za chwila dla nieprzyjaciela, gdyby z niéj był umiał korzystać!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 7. i obejmuje: 1) Zalecenie mało ziemianom jeszcze znanéj pastewnéj rośliny *Symphytum asperrimum*, chropiastego żywokostu (*rauhe Schwarzwurzel*). 2) Jak jest ważną rzeczą aby chów bydła także i u nas się podniósł. 3) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacyi cukru z buraków, ogłoszone przez Edwarda hrabię Raczyńskiego. (Ciąg dalszy.) 4) Wiadomości czasowe.

Numer 4. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego pr. Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Miłośnik książek. 2) Reduta, wiersz Leszka Dunin-Borkowskiego. 3) Teatr. 4) Zabawy tegoroczne. 5) Rozmaitości.

W Nrze 15. wychodzącego tu pisma niemieckiego *Galicia*, odznaczającego się artykułami o literaturze polskiéj i przekładami z polskiego, czytamy nader trafny przegląd wielu czasowych pism polskich.

W tych dniach ukończył się w Poznaniu druk 3go tomu *Medalów*, wydawanych przez hrabiego Edw. Raczyńskiego.

Do dziejów tańca. W nowszych czasach tak często powstawano na taniec, i tylekrotnie starano się go wszelkiemi sposobami puścić w zapomnienie, iż nie od rzeczy będzie, gdy o tém okrzyczaném ćwiczeniu ciała, kilka słów napomkniemy. Wiadomo, iż uparci i kłótliwi uczeni nie zgadzają się z sobą co do imienia osoby, która taniec wynalazła. Jedni utrzymują, że go wynalazł Kastor i Polux, drudzy, że go wynalazła Minerwa, która po upadku Tytanów, z radości tańczyła. Mówią, że za przykładem bogini téj cały Olimp w tan poszedł, i zdaje się, że to balowi pierwszy początek dało. Wszystkie szczęśliwe narody tańczą, gdyż taniec jest prawie wszędzie żywym i prawdziwym wyrazem swobodnego umysłu. Taniec trzyma piérwsze miejsce w każdym tryjumfie i na każdéj zabawie, a chociaż podług doniesień ojca Polleprata, niektóre hordy amerykańskie żałość i rozpacz swą tańcem charakterystycznym przedstawiają, przecież wyjątku tego za prawidło ogólne brać nie można. Spartanie i Kreteńczykowie tańcując biegli do szturmu i nié masz wątpliwości, że z tąd pochodzi ów dawny zwyczaj mówienia: »*To był walny taniec*«, co zaciętą walkę znaczyło. Wszystkie narody hołdowały tańcowi ale nie w jednakim sposobie. U Rzymian nie wolno było tańczyć jak tylko na teatrze i podczas Saturnalijów, gdzie wszelka rozkosz żadnych granic nie miała. Zapewniają, iż Tyberyjusz wszystkich tancerzy z Rzymu wygnał, i że Domicyjan senatora, który tańczył, z urzędu złożył. Podług naszego zdania jestto tylko dowodem, że zły człowiek jest nieprzyjacielem radości. — Nawet pismo święte tańcu nie zabrania, a wiadomo, że i Dawid z pobożności przed arką tańczył. — Jeden z największych monarchów francuzkich, Ludwik XIV. mieszał się podczas festynów pomiędzy panów dworskich i tańczył z nimi kontradansa. Księżna Małgorzata de Valois, równie tkliwe serce jak i wielki rozsądek mająca, lubiła namiętnie taniec. Za czasów teroryzmu śród huku bębnów, krwawych sędziów, umilkła wesoła muzyka tańcu, ale skoro Robespiera zgładzono, natychmiast naród tańcem nową epokę obchodzić zaczął. W Paryżu dano *Bal ofiary*, na którym wszyscy obecni w żałobie wystąpili. Teraz przeminął czas niewymuszonego, skromnego tańcu, jego miejsce zajął taniec baletowy. Menuet wyszedł z mody, *Ecosais* zaginął, a wątpimy bardzo, aby matki w tomiast *Kachuchę* albo *Gitanę* dla swoich córek zaprowadzić chciały. Atoli jakkolwiek bądź, zalecamy taniec tym wszystkim, którzy ciało swe wzmocnić, członkom gibkości nadać i kibitność swą uszlachetnić pragną, jakoż za tém przemawia najsławniejszych teoretyków i praktyków zdanie. Mead, doktor angielski, tańczył w siedmdziesiątym roku swego życia, dla usunięcia, jak mówił, szkodliwego skutku z siedzenia przy stoliku, a pewien sławny Francuz, kolega Meada, człowiek z głową, któremu wielkie talenta cztéry ordery zjednały, jest jeszcze po dziś dzień żwawym tancerzem, chociaż już lat 85 liczy. Wyśmiewaczom swoim odpowiada on to samo, co Sokrat odpowiedział tym, którzy się z niego wyśmiewali, gdy od Aspazyi tańczyć się uczył: »Śmiejecie się ze mnie gdy tańczę, możnaż to nazwać śmiesznem, gdy odbywam ćwiczenie, które dla zdrowia potrzebne?«

Wdzięczność żołnierza. Pod wieczór w zimowéj porze przed Bożém Narodzeniem 1840 r. Jks. Trawik, proboszcz i dziekan greckiego syzmatyckiego obrządku, odziany w multańskiéj, futrem podszytéj sutannie, wracał po odbytéj w pewnym interesie podróży do domu; aż oto na gościńcu za Rogużną, o dwie mil od Czerniowiec, spostrzegł, że coś ciemnego w śniegu leży; zatrzymał więc konie, i przypatrzywszy się z-bliska, przekonał się, że to był żołniérz. Nie namyślając się bynajmniéj, wziął go natychmiast na sanie i podobnie jak on litościwy w ewanielii Samarytanin, postanowił jechać z nim do najbliższéj karczmy, gdyż żołnierz był od zimna całkiem zdrętwiały, i żadnego znaku życia nie okazywał. Popędził żwawo huculskie konie i po niejakiéj chwili dostał się do karczmy przy gościńcu, gdzie umieściwszy nieszczęśliwego, użył wszelkich sposobów do uratowania go. Niespracowanéj gorliwości jego i ciągłemu naciéraniu śniegiem, tudzież innym środkom, których dłużéj niż przez godzinę używano, powiodło się nareszcie żołnierzowi życie przywrócić. Zacny kapłan uradowany tak pomyślnym wypadkiem, nagrodził nawet ludzi, którzy w tym miłosierdnym uczynku go wspiérali, i zostawiwszy gospodarzowi niejaką kwotę dla posilenia żołniérza ciepłym rosołem, opuścił karczmę, częścią, by się uchylił od podziękowania, częścią, by jeszcze tegoż samego wieczora do familii i choréj swéj małżonki powrócił. Nadmieniony żołniérz był jednym z Czerniowieckiéj załogi wysłanych ordynansów, który skoro odzyskał przytomość i posilił się żywnością, wziął natychmiast swoje papiéry i obejrzawszy karabin, zamyślił puścić się dalej w drogę. Nadaremnie usiłowano go wstrzymać od tego przedsięwzięcia, przedstawiając mu ostre zimno, gdyż było 20 stopni mrozu. Żołniérz wymawiał się, że depesze jego nie ciérpią zwłoki, i wywiadywał się tylko o miejsce pomieszkania swego wybawcy, poczém odważnie ruszył w drogę. Dążył sporym krokiem do włości, w któréj zacny kapłan przebywał i postanowił osobiście złożyć mu swoje podziękowanie. Ucieszył się mocno, gdy w pomieszkaniu jego spostrzegł jeszcze migające się światło, atoli im bardziéj się zbliżał do domu, tém bardziéj zaczął być uważnym na krzyk, który z pomieszkania kapłana się rozlegał. Przyszedł do drzwi, te były zamknięte, bez stukania pospieszył do okna, dla zobaczenia co to ma znaczyć. Ale jakże się nie zdziwił, gdy spostrzegł przy kapłanie cztérech ludzi, którzy skrępowawszy mu ręce i nogi, właśnie zabiérali się sypać mu na piersi żarzące węgle, dla wywiedzenia się gdzie ma pieniądze. Stojąc pod oknem, słyszał każde ich słowo, a zatém nie mógł wątpić, że zbójcy na kapłana napadli. Przykłada więc odważnie karabin, mierzy, strzéla—i jednego z cztérech zbójców trupem ściele. Uniesiony zapałem, zakłada bagnet na karabin i w okamgnieniu spieszy do drzwi na zatyłku, a zastawszy je na oścież otwarte, wchodzi i bagnetem przeszywa piersi piérwszemu z zbójców, który naprzeciw niemu wybiegł, nakoniec rozpoczyna z drugim utarczkę, któremu podobnież śmiertelną zadaje ranę, ostatni zaś uchodzi. Tym sposobem jeden żołniérz broniąc dobrej sprawy, odniósł nad czterma uzbrojonymi zbójcami zwycięztwo i miał tę przyjemność, iż wybawcy swemu czynnie się wywdzięczył. Kapłan uwolniony z więzów, uściskał z największą radością wybawcę całéj swojéj rodziny, i wzruszony tém dziwném zrządzeniem nieba, na głos podziękował Bogu, którego palec w tém zdarzeniu tak się widocznym okazał.*)

*) Zacny ten kapłan złożył niedawno dla nadmienionego żołniérza tu we Lwowie do kasy oszczędności 800 ztr. mon. konw. *Przyp. Redakcyi.*

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.